

Awans krainy stepów

Z podróży
po Środkowej Azji

Srodkowa Azja. To symbol bezludnych stepów, płonących potokami słonecznej, lub skutych kilkumetrową powłoką pękającego w mrozie śniegu. To beznamiętność całych plemion wobec moskitów roznoszących malarię, wobec mnogości azjatyckich pasożytów przysparzających cierpień człowiekowi skazanemu na powolną śmierć.

Środkowa Azja, to perła Wschodu — lśniąca bajecznymi wieżami Samarkanda i Buchar, to wrota Wschodu — Taszkient, to wreszcie — o czym pasterze gnający swoje stada wiedzieć nie mogli — cała Tablica Mendelejewa, wszystkie znane ludzkości pierwsiastki, niezmiernie bogactwa naturalne leżące w głąbinach tych ziem.

Narody Środkowej Azji odstawiły do lamusa historii dawne symbole. W wielotygodniowej podróży po Środkowej Azji widziałem drogę, jaką przebyli w niespełna 45 lat...

W krainie Tamerlana i... Figlewskiego

Pierwszym przewodniczącym utworzonej po Rewolucji Październikowej Rady Komisarzy Ludowej Turkiestańskiej Autonomicznej Socjalistycznej Republiki Rad był polski rewolucjonista — Wł. Figlewski. Wiele wody upłynęło w Syr Darii zanim Rada objęła kontrolę nad całym terytorium dzisiejszego Uzbekistanu. Buharska twierdza, miasto rodzinne Awicenny, okazała się początkowo nie do zdobycia dla rewolucyjnych oddziałów

W dużych skupiskach miejskich, do najpopularniejszych należą lokatorskie swary; ich epilog rozgrywa się często przed sądem. Znawcy zagadnienia skłonni są jednak twierdzić, że różnorodność stosunków, wiążących mieszkańców wsi — nazwijmy je lapidarnie produkcyjno-sąsiedzkimi — rodzi tam częstsze sytuacje konfliktowe niż w mieście.

Kto mógłby rozsądzać zwaśnione strony? Kto powinien odegrać rolę przysłowiowego trzeciego — skłaniającego poróżnionych do ugody? Co czynić, by odciążyć zawalone sądy? Oto problem, nie od dziś absorbujący uwagę pracowników wymiaru sprawiedliwości, działaczy społecznych, szeregu publicystów.

Podejmowano rozmaite próby likwidowania ludzkich uraz w oparciu o socjalistyczne zasady współżycia (ostatnio w Łodzi*). Próby te jednak dotyczą z reguły miast, podczas gdy wieś właśnie od dawna postuluje potrzebę ustanowienia organów pojednawczych. Dzisiaj bowiem, identycznie jak przed dziesięcioleciem — gdy sąsiad sąsiadowi kure, czy gęś zagarnie, poszkodowanemu służy jedynie droga skargi sądowej.

A przecież dla większości obywateli, wnoszenie sprawy do sądu stanowi ostateczność, przed którą wzdryga się, zwłaszcza, jeśli przedmiot sporu nie jest dość ważki. Prócz tego by jednak szukać pozasądowego organu, czy ciała społecznego, kompetentnego do załatwienia konfliktu. Sołtys nie od tego i nie od tego biuro gromadzkiej rady. Chyba, że sprawa jest z rzędu grubszych i... kwalifikuje się przed powiatowe kolegium karno-administracyjne.

Aktualnie jest w sferze dyskusji projekt nowej ustawy o orzecznictwie karno-administracyjnym, jako że obowiązujący do tej pory akt prawny z roku 1951 (znowelizowany w r. 1959), okazał się niedoskonały. Można by przypuszczać, iż powstała dogodna sposobność wyjścia naprzeciw postulatowi co do postępowania pojednawczego. W jakim stopniu uwzględniła to omawiany projekt?

Przypomnijmy wprzód niektóre postanowienia obowiązującej ustawy. Otóż z jej mocy powołano przy

* Pisyaliśmy o tym we wczorajszym wydaniu „Głosu Wielkopolskiego” w artykule: Aniołowie zgody i spokoju...

Kawalerii. Oddziały Michaiła Frunzego i czerwoni kolejarze linii Krasnowosk — Samarkanda — wdarły się wreszcie do monarszego gniazda, lecz nie zastały gospodarza. Wraz z kilkuset żonami i kuframi złota Wezyr uciekł do Kabulu. Był to rok 1920. Dwa tysiące lat historii liczący sobie Registan — przetrwał kolejnego władcy i dziś służy jako gigantyczne muzeum kultury i cierpień narodu.

Następny etap podróży to Samarkanda, gród legendarnego Tamerlana, krwawego Czyngis-chana Środkowej Azji, twórcy gigantycznego państwa sięgającego granic Chin i Morza Czarnego.

Celem mojej wizyty w Samarkandzie jest spotkanie z pracownikami Instytutu Medycyny Tropikalnej. Placówka ta została utworzona w 1924 r. przez Lenina z zadaniem przeciwdziałania się plagom Uzbekistanu — malarii i pasożytom: wrzodom, robakowi Medyny itp. Malaria pochłaniała rocznie około miliona istnień ludzkich, 20 proc. ludności tego obszaru. Więcej niż połowa ludności (w rejonie Buchar) niemal cała ludność cierpiała toczona przez pasożyty.

— *Polecenie Lenina wykonaliśmy* — mówi sędziwy już dyrektor placówki. — *Objąłem placówkę w 1924 roku jako młody 24-letni pracownik nauki. Inni pracownicy nie byli ode mnie starsi... Rezultaty? W ubiegłym roku wydarzył się tylko jeden wypadek choroby malarycznej i to w hotelu „Taszkient”. Zachorował obcokrajowiec, nasz sąsiad z Afganistanu. Walka z pasożytami organizmu ludzkiego jest w tku. Nie ma już dziś śladów powszechności tych chorób. Na szeroką skalę rozwinięte budownictwo sanitarne we wsiach i miasteczkach, systematyczna kontrola wody i środków spożywczych, wreszcie szybka izolacja nosicieli pasożytów — odebrała im środowisko rozwoju. Zwycięstwo nad plagami Wschodu nie przyszło łatwo i szybko — kończy profesor.*

W Taszkencie poznałem Hadżumę Szukuruwa. Była w ub. roku w Polsce na czele delegacji kulturalnej Uzbekistanu, w okresie Dni Kultury Republiki Środkowo-Azjatyckich. Ze wzruszeniem wspomina serdeczne spotkanie z włókiennikami w Łodzi i ze społeczeństwem Wrocławia.

— Ma pani na imię Hadżuma...

— Tak, to nazwa ruchu emancypacji uzbeckich. W latach trzydziestych, 350 spośród nich podstępnie zamordowali przeciwnicy tego ruchu, fanatycy odwiecznych tradycji. Po co daleko szukać przykładów awansu uzbeckich kobiet. Na czele naszej republiki stoi przewodnicząca Rady Najwyższej. Jej ojciec miał cztery żony. Była pierwszą kobietą, która w 1941 r. otrzymała dyplom — inżyniera specjalisty budowy mostów. 32 tys. Uzbeków piastuje dziś godność członkini rad narodowych, 131 — członkini Rady Najwyższej Republiki, a 18 członkini Rady Najwyższej ZSRR.

Elektrownia i wędkarze

Następnym etapem mojej podróży były nowe ośrodki przemysłowe w okolicach Karagandy w Kazachstanie. Na „pierwszy ogień” gospodarze zaproponowali mi obejrzenie nowej, potężnej elektrowni. „Karaganda II”: wyrasta w stepie u podnóża szczytu Czarnej Głowy w odległości 80 km od Karagandy.

Po raz pierwszy zetknąłem się wówczas z wędrownymi budowniczymi sławnych inwestycji radzieckich. Jeżdżą kolektywnie z jednej strony ZSRR w drugą, nigdzie nie zagrzewają miejsca więcej niż 5 lat, żyją z walizkami w rękach, w metrykach urodzin ich dzieci widnieją nazwy najprzeróżniejszych, dziś jeszcze nieznanych, a jutro już popularnych miejscowości...

Oto Mark Tach, wysoki, szczupły, z nosem charakterystycznym dla pewnego francuskiego meża stanu. Potężnym basem opowiada przybyszowi o trudach załogi, o zwycięstwach i porażkach w walce z odwiecznym, przez człowieka niekniętym żywiołem. Sypie liczbami woltów, metrów sześciennych wody, sumami rubli i — gestykulując — pokazuje swoje gospodarstwo. Zatrzymaliśmy się nad brzegiem wyrobiska tworzącego już ogromne jezioro. Stojąc po kolana w wodzie — łowią ryby wędkarze. Podchodzę bliżej. Splawik zaczął tonąć — wędkarz pociągnął wędziskiem i na brzeg wypadł okazały okoń. Mark Tach wziął go do ręki. Po raz pierwszy odezwał się ciepłym tonem:

— *Widzicie jak już urosły. Przed trzema laty wpuściliśmy drobnicę...*

Piołr Życki



prezydiach PRN kolegia k-a, przy czym ustawa zezwalała na tworzenie tychże również przy prezydiach MRN, miast, nie stanowiących powiatów oraz przy radach gromadzkich. Powołano owe kolegia „niższego szczebla” dość licznie w całym kraju... po czym niemal powszechnie je likwidowano (w Poznańskim istnieje obecnie tylko jedno, jedyne tego typu kolegium k-a — przy Prezydium MRN w Koninie). Po prostu doświadczenia, płynące z dzia-

Wbrew pozorom, ludzie na wsi częściej niż mieszkańcy miast — popadają wzajem w drobne konflikty. W grę wchodzi na ogół sprawy, które dałoby się załatwić ugodowo, bez współudziału sądu. Kto mógłby się tym jednak zająć?

Artykuł nasz stanowi głos w dyskusji nad projektem nowej ustawy o orzecznictwie karno-administracyjnym.

łałości tych kolegiów — nie były najlepsze; występowała tam niechęć do karania ludzi z najbliższego otoczenia, zdarzały się wypadki łamania praworządności. Obiektywna wymowa faktów jest taka, iż w chwili obecnej nadal w tzw. terenie nie ma organów, które by rozstrzygały pomniejsze spory w drodze ugodowej.

Projekt nowej ustawy zmierza do zmiany tego stanu rzeczy. Oto w niektórych przypadkach, skład orzekający powiatowego kolegium k-a ma przeprowadzać postępowanie pojednawcze; dotyczy to spraw, które nie godzą bezpośrednio w interes publiczny. A więc — Eureka? Znaleźliśmy rozwiązanie? Niestety, chyba jeszcze nie. Przede wszystkim — jakie sprawy podlegałyby owemu postępowaniu pojednawczemu? Kiedy to interes publiczny będzie tylko pośrednio naruszony? Czy, jeśli sąsiad np. poszczuje psem sąsiada, w wyniku czego ten zostanie pogryziony i lekarz udzieli mu zwolnienia z pracy w PGR-ze — interes publiczny nie doznaje uszczerbku? Ponadto owo postępowanie pojednaw-

cze stanowić ma najwyraźniej integralną część rozprawy przed kolegium, której procedura, w myśl nowych przepisów — niewiele odbiegać będzie od procedury sądowej.

Natomiast mieszkańcy wsi, działacze wiejscy — nie od dziś wysuwają postulat, by rozważyć powołanie ciał społecznych, godzących zwaśnione strony z pominięciem rozpraw przed takimi czy innymi organami wymiaru sprawiedliwości.

A to inna wątpliwość, związana z omawianym projektem ustawy. Przewiduje się w nim, analogicznie, jak w obowiązujących akcie prawnym, możliwość powoływania kolegiów k-a przy prezydiach MRN i radach gromadzkich. Jak już wspomniano, praktyka ostatnich lat doprowadziła do likwidacji tych organów; zatem nowo projektowane przepisy wydają się ignorować dotychczasowe doświadczenia w tym względzie. Wątpliwości, co do słuszności powoływania kolegiów k-a przy prezydiach rad narodowych niższego stopnia — wzmaga ją propozycja wyposażenia obecnie kolegiów w procedurę, nader zbliżoną do sądowej. Wydaje się tym bardziej wątpliwe, aby kolegia „niższe” mogły sprostać tym zwiększonym wymagom, zwłaszcza, iż nie przewiduje się dla nich uproszczonych przepisów proceduralnych...

W Poznańskim urządza się dość często spotkania przedstawicieli kolegiów k-a z ludnością wiejską. Są te spotkania znakomitą okazją dla popularyzacji niektórych przepisów prawnych, a zarazem okazją do przeprowadzania sondaży. Miałem możność przejrzenia materiału z tego rodzaju imprez. Oto dominuje wśród mieszkańców wsi pogląd, że nieodpowiednie są ciała społeczne, rozsądzające — na zasadzie dobrowolności — drobne, codzienne spory, zanim urosną one do rozmiarów konfliktu. Co się proponuje? Nie, nie kolegia karno-administracyjne przy GRN; nie uważa się tak, że, by projektowane postępowanie pojednawcze przed powiatowym kolegium mogło spełniać tę rolę.

Co do kolegiów — panuje opinia,

DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Ryszard Danecki

Rozmowy z Jewtuszenką

Biliza od twojego kopnięcia jeszcze mi nie zginęła! To było powitalne zdanie Jewtuszenki, kiedy nieoczekiwanie spotkaliśmy się ostatnio w Centralnym Domu Literatów przy ul. Worowskiego 50. Podczas wspólnych studiów w moskiewskim Instytucie Literackim im. Gorkiego, graliśmy w piłkę nożną zawsze w przeciwnych drużynach. Zawsze też toczyliśmy ze sobą zacięte spory na temat różnic pomiędzy publicystyką a poezją.

— I nadal uważasz, że moje wiersze, to poetyckie felietony? — spytał po zarecytowaniu kilku niepublikowanych jeszcze utworów, przewiezionych z Kuby. — Powiem ci, w takim razie inne. Niektóre z nich były drukowane w „Kijowskiej Prawdzie”: takie kolejki stały po ten numer, że kioski przed uniwersytetem w Kijowie — zostały przewrócone przez napierający tłum i kioskarz leży w szpitalu. Jeden z wierszy zaczynał się: „Bolsziństwo ty użę nie bożestwo” — rysuje niewesoły obraz, kiedy to większość w głosowaniu podniesiona do roli decydującego bóstwa, orzeka o losach ludzi. W podobnej tonacji utrzymany był następny wiersz „Rada podleca”.

Śmiało, świetnie oddające nastroje społeczeństwa radzieckiego, szczególnie młodzieży — ale też tylko felietony. Zaczął więc recytować lirykę miłosną. Tu dopiero pokazał poetycki pazur. Niewiarygodna jednak dla naszych wyobrażeń popularność wśród czytelników zyskuje mu właśnie owe felietony poetyckie: dzięki celnym i szybkim formułom aktualnych myśli i odczuć masowego odbiorcy.

Pisze w imieniu odbiorcy rzeczywistości masowego. Sale na wieczorach autorskich (płatnych) wypełniają się tysiącami ludzi. Oczywiście, na wystąpienia nie wszystkich poetów przychodzi takie tłumy — jest kilkanaście nazwisk, wśród których rekordy zainteresowania bije Jewtuszenko. Na jego nowy tomik, który ma się wkrótce ukazać, jest już przeszło 70.000 zamówień. Poprzedni — sprzedają spekulanci, krążący koło księgarni, po 20 rubli (w przeliczeniu wyniesie to mniej więcej 360 zł). Kiedy pojechalismy na Wystawę Francuską i Żenia nieopatrznie zaparkował swojego „Moskwicza” w miejscu zakazanym — milicjant tylko zasalutował, gdy ujrzał nazwisko właściciela wozu.

Jewtuszenko jest sztandarem toczących się w Związku Radzieckim dyskusji literackich. Dyskusji pomiędzy starym, a młodym pokoleniem twórców — podział ten nie zawsze zresztą pokrywa się z wiekiem, czego przykładem Paustowski, Szołochow i Twardowski. Młodzi reprezentują postawę znamienną dla okresu stabilizacji — chcą przywrócić normalny, intymny charakter sztuce, chcą rozmowy człowieka z człowiekiem. Starsi — uczestnicy wielkich ruchów rewo-

lucyjnych, wciąż jeszcze próbują roli trybunów przed anonimowymi dość masami. Ciekawe, że właśnie oni niechętnie konfrontują swoje utwory z wielkimi liczebnie audytoryami. O afiszowych, płatnych wieczorach autorskich w dużych salach koncertowych — zgryźliwie mówią, że to autoreklama! A może kryje się za tym lęk, że nie potrafiłoby zebrać tylu słuchaczy?

Aleksiej Surkow nie przyjął wyzwania Eugeniusza Jewtuszenki, który zaproponował, żeby spór toczyć na liczbę słuchaczy. Surkow oburzał się, iż Jewtuszenko odmówił oceny swoich wierszy przez sekretariat Związku Pisarzy, oznajmiając, że nie pisze dla poetów, lecz dla czytelników. Dyskusja jednak poświęcona młodej literaturze, potoczyła się dalej tak, że Surkow nie mając żadnych argumentów po prostu opuścił posiedzenie. Na wieczór autorski Jewtuszenki w wielotysięcznej sali im. Czajkowskiego w Moskwie zabrakło biletów. Słuchacze przez cztery godziny nie pozwolili mu opuścić sceny — sprzątaczkę kilkakrotnie gasiły światła, żeby zmusić ludzi do wyjścia.

Centralny wieczór z okazji „Dnia Poezji” — odbywał się wieczorem przed pomnikiem Majakowskiego. Zebrało się na placu, sądząc na oko, przeszło osiem tysięcy słuchaczy. Po wysłuchaniu kilku literatów, zebrani zaczęli skandować nazwisko ulubionego poety, którego nie zaproszono na to wystąpienie. Sergiej Wasiljew zmuszony został do zwrócenia się przez mikrofon z apelem, aby Jewtuszenko wszedł na estradę, jeśli jest obecny. Po zarecytowaniu fragmentu poematu, którego myślą przewodnią jest stwierdzenie „Rewolucjo — ja twój żołnierz, nie lokaj” Jewtuszenko chciał odejść. Krzykami zmuszono go do powtórnego wystąpienia. Nikt już potem nie chciał słuchać pozostałych pisarzy — rozentuzjasmowane tłumy zatrasały ulicę Gorkiego, żeby autor tych wierszy nie mógł odejść, przestawiono przystanek trolejbusowy...

Dopiero dłuższy pobyt w ZSRR pozwala zrozumieć, dlaczego z dwójga przyjać, Jewtuszenko jest bardziej popularny, niż mający większe dokonania poetyckie na swoim koncie i bardziej znane w Polsce, Andrzej Wozniesiński, Jewtuszenko pierwszy bowiem wyrabuje drogę nowym problemom społecznym w poezji.

Zegnając mnie przed odlotem z Moskwy (Żenka sam miał już w kieszeni bilet na ponowny, dwumiesięczny wyjazd na Kubę) podarował mi swoje zdjęcie z dedykacją: „Bądź zawsze młody — ja też się postaram”. Młodość, pojęta jako śmiałość i najśmielsza więź z współczesnością — to jest właśnie credo tego najpopularniejszego poety radzieckiego. Nie tylko w ZSRR — jego zbiorki wychodzą na obu półkulach. Antologia poezji rosyjskiej w języku niemieckim nosi charakterystyczny tytuł: „Od Puszkina do Jewtuszenki”.

że nie powinno się ich powoływać przy GRN ze względów, o których była już mowa, choć tu i ówdzie rozlegają się w związku z tym głosy o rzekomym „ograniczeniu władztwa gromadzkiego. Postępowanie pojednawcze przed kolegiem k-a przy prezydiach PRN, traktuje się jako innowację celową, choćby z tego względu, iż usunięta zostanie anomalia, jaką z pewnością było obowiązywanie tego typu postępowania jedynie przed sądami.

Ale warto chyba rozważyć myśl powołania dla spraw drobnych ciał społecznych przy od powiednich komisjach gromadzkich (miejskich) rad. Rady narodowe mają prawo powoływać komisje stałe i niestałe, a po-

nadto w łonie komisji — podkomisje, bądź zespoły, dla określonych zagadnień. Na pewno warto przemyśleć sprawę tworzenia np. przy komisjach mienia gromadzkiego — zespołów dla rozsądzania sąsiedzkich sporów.

Co potrafi zespół ludzi dobrej woli, zgrupowanych przy Komitecie blokowym — potrafi na pewno grono rozsądnych obywateli wiejskich. Zresztą — może to nie najlepszy projekt. Ale jakiś projekt trzeba wysunąć i — skierować do realizacji. Bowiem nawet nowa, „ulepszona” ustawa o orzecznictwie karno-administracyjnym — problemu rozstrzygania wiejskich, codziennych swarów, w duchu nowego ładu społecznego, nie rozwiązuje...

Wchodzi się tu przez jedną z dwu bram ozdobionych płaskorzeźbami pałacu miasta, św. Błażeja, by od razu zagubić się w uliczkach tak wąskich, że sąsiadowi z przeciwka można na dobrą sprawę podać rękę przez okno. Wąwozy uliczek pną się coraz wyżej i wyżej, a z góry, z perspektywy murów obronnych, widać wyraźnie całe centrum, podobne kształtem do owalnej miednicy. Zerkam w drugą stronę — brrr!, gdyby ktoś dla żartu podniósł oba zwodzone mosty, nielato byliby się stąd wydostać...

Na progu domku z białego kamienia siedzi brodaty szewc i pracownice wyklepują kawałek skóry. W tej średniowiecznej scenerii nietrudno ulec wrażeniu, że także on przetrwał na swym stołku z tamtych lat. Ale mury obronne zaczęły wznosić już w VII wieku niedobitki z Epidaurum, kolonii rzymskiej, którym udało się uciec cało najazdowi Słowian i Awarów. Połączenie krwi rzymskiej ze słowiańską dało dobrą mieszaninę, skoro Dubrownik zastąpił nie tylko z pięknych dziewcząt, lecz także urosł w XIII wieku do rangi republiki morskiej, konkurującej w swym złotym okresie ze słynną wenecką. Stąd wypływały statki na dalekie południe, miasto bogaciło się handlem i rosło w znaczenie. A kiedy na jego niebie pojawiły się zle chmury — oddawało się chętnie pod opiekę najsilniejszego. W 41 kościołach i 10 klasztorach odprawiano modły za zbawienie duszy kolejnego suwerena, książę i możni sięgali do kieszy — ale na wszelki wypadek umacniali fortyfikacje i budowali nowe. Tak oto św. Błażejowi udawało się jakoś wyprowadzać swych wiernych z opresji. Dziś, jako jedno z nielicznych szczęśliwych miast w Europie, Dubrownik szczyci się śródmieściem, które w całości zachowało swój średniowieczny kształt.

Zauważę, że nie przyjechałem tu w czasie festiwalu teatralno-muzycznego, organizowanego rokrocznie w znakomitej obsadzie, w plenerze, na tle naturalnych dekoracji starych baszt i krużganków. Impreza ta nawiązuje do widowisk,

Janusz Biniek

Dubrownik - miasto szczęśliwe

Dwa tygodnie w Jugosławii

z których Dubrownik słynął już w XVI stuleciu.

Bo też bogate miasto zawsze mile witało artystów. W jego murach stuknęły młotki rzeźbiarzy, a modły ascetycznych mnichów przeplatały się z miłosnymi pieśniami trubadurów. Widocznie ci ostatni wdzięcznych znajdowali słuchaczy, skoro już w r. 1321 miasto utworzyło... przytułek dla dzieci pozamażeńskich. W r. 1438 zafundowało sobie wodociąg, instalowane przez mistrza Onofra z Neapolu; studnia, którą sprawił i pięknie wyrzeźbił, stoi przy głównej ulicy, i jeszcze dziś woda sączy się ze źródła.

Nie, nie próbuję nawet wyliczyć zabytków sztuki i muzeów Dubrownika. Utrudzony, wybieram się wieczorem do „Jadranu”. Coś w rodzaju kawiarni pod gołym niebem (jako że deszcz należy tu do takich samych wyjątków jak u nas słoneczne lato), na dziedzińcu byłego, średniowiecznego — jakże by inaczej? — klasztoru. Obok wejście do kina, fotostęski znajome, tytuł: „Raštanci” — tak, to nasze „Pożegnania”.

Jugosłowiańskie „kafany” różnią się znacznie od naszych kawiarni. Oczywiście — pije się kawę, tylko po turecku, piekielnie mocną, zawsze ze szklaneczką zimnej wody. Ale poza tym — tylko napoje chłodzące, „rakije”, na uparte go jakas kanapkę. I wino. Tanie, a jednocześnie dobre. I jeszcze jedna różnica: pije się tu wino po śniadaniu, obiedzie, kolacji, a zataczających się — ani na lekarstwo. Chyba, że cudzoziemcy, ale to inna sprawa w tym klimacie.

A cudzoziemców tu wielu, nie dziwnego: wrzesień — to jeszcze pełnia sezonu, a Dubrownik — najciekawsze miasto Jugosławii, choć to miasteczko prawie, ot, 20 tysięcy

mieszkańców, żyjących niemal wyłącznie z turystyki.

Siedzę więc w tej kafanie, popijam białe wino, znakomicie chłodne, a na estradzie rozpoczyna działać orkiestra. Czterech młodych chłopców, grają z biglem, wszystko dobrze zmełafonizowane. Przeważnie cha-cha, twist, slowfox, repertuaru nie powstydziłby się Lucjan Kydryński. Oho, rozpoczyna się „igran-ku”. Słucham i patrzę z prawdziwą przyjemnością: ta młodzież, przeważnie miejscowa (dziewczęta w białych spódnickach, taka tu moda), tańczy z niekłamany wdziękiem, i dobrze tańczy. W przerwie na estradzie pojawia się „Trio Mexicanos” z gitarą, potem okazuje się, że są to „Meksykany z Beograda”, studenci, ale śpiewają wcale, wcale.

Do stolika dosiada się jakiś blondyn i dwie smagłe dziewczyny. Polaka witają z przyjaznym zaciekawieniem, rozpoczyna się rozmowa w przedziwnym mieszaninie polsko-serbochorwacko-niemiecko-włoskiej. Blondyn jest z północy, ze Słowenii, pracuje jako inżynier w Trieście, dziewczyny — z południa, studentki (jedna z nich oświadcza, że jest mahometanką), widzę, że nawet oni mają trudności w rozmowie. Cóż — różnice językowe są tu znaczne.

O północy orkiestra życzy wszystkim „laku noć”. Noc, jak zawsze, cicha i ciepła, słychać leciutki szum morza i granie cykad. W świetle reflektorów wznoszą się ku górze potężne, a jednocześnie lekkie sylwetki baszt, wśród nich najpiękniejsza — Minceta. Jutro trzeba już wyjeżdżać, i tak za siedziałem się w Dubrowniku dwa dni dłużej. Na razie idziemy zażywać jeszcze kąpiele morskie. W kieszeni mam bilet na statek do Splitu.

facy podostrzą sobie nóż o spód talerza, a co mówić o własnym rowerze czy zapalnicze. Rozbiorą to do ostatniej śrubki i dotąd będą dłużyć i majstrować, aż znajdą błąd i usuną. Tak się jednak jakoś składa, że aby ich znaleźć wśród konserwatorów, to nie ze świecą by ich trzeba szukać — lecz co najmniej z gromnicą.

Ale zleżmy z konserwatorów. Proszę, oto wagony kolejowe: poukłacane klamki, rozbite szyby, lusra i muszle kłozelowe („pozostaw to miejsce w takim stanie, w jakim chciałbyś je zastać” — właśnie, dobrze gadać, ale jak to zrobić?). Oto uliczne kosze na śmieci. Budki telefoniczne. Automatyczne wagi i automaty do sprzedaży peronówek, papierosów, słodczy. Krany uliczne. Młynki do kawy w sklepach i maszynki do krajania wędlin, sera, chleba. Przyciski do dzwonków i wyłączniki do światła w klatkach schodowych...

A jak już jesteśmy na schodach, to wejdźmy do mieszkań. O, proszę, w przedpokojach rowery, zardzewiałe, zaskorupały starym błotem, od lat nie czyszczony. Tylko wyswiechtane siodło świadczy, że ten gracz jeszcze jakimś cudem jeździ. Gniazdka kontaktowe wyrwane ze ścian, aż druty wylażą, jak bebechy. Bezpieczniki gwoździem łafane. Radio naprawiane pięścią. W szufladzie z rupieciami przepalone kable, żelazka do prasowania i grzałki, zespuł adaptory, prodiże. Piecyk w łazience puszcza gaz, za to spluczka bez przerwy szumi jak wodospad. Gazówka w kuchni zapakowana spieczonymi sosami, kurki trzeba obcęgami obracać, kran nieustannie plup i plup i plup, a zlew zatłoczony fusami herbaty. Tu urwana klamka, tam wywinięte drzwi w szafie, ówdzie reszka złamanego klucza w zamku, to znów obluźowane śruby i pęknięte sprężyny w tapczanie i bo ja wiem co tam jeszcze. Najbardziej wyobraźnia, wsparła obserwacją i pamięcią, w tej dziedzinie nawet do pięć nie dorasta rzeczywistości.

Gdziekolwiek się ruszy, spojrzeć, w gwarnych miejscach publicznych czy i zacisznych pieleszach domowych, wszędzie ta zimna, okrutna wrogość do mechanizmów i narzędzi. Jakby powszechną radością życia było gnębić je, kalczyć, niszczyć, utrupić. Tak, jak zwyrodniały, pijany wozak kałuje swojego konia-żywiela, tak mnóstwo trzeźwych i szlachetnych rodaków znęca się nad mechanizmem i narzędziem — sługą i przycielem.

Matka nienawidzi jest najczęściej ignorancja, czy niewiedza, czyli po prostu głupota. Śmiem przypuszczać, że i ten aspekt skłonił światłych ludzi do zainicjowania konkretnych posunięć w ofensywie politechnicznej społeczeństwa.

Jest coś krępującego w tym, że główny kierunek tej ofensywy zwrócono — poprzez szkoły — na młodzież. Chyba niewielka już będzie pociecha z podtatusiałego czy tatusiającego pokolenia, choć i tu niech żywi nie tracą nadziei.

Wypało temu pokoleniu żyć w okresie przejściowym, albowiem wschodzi era cybernetyki i atomu. Marzą się nam już przemysłowe roboty, które nie tylko będą za nas myśleć, ale i pociągać za łańcuszek — ale radio uziemiamy w doniczkę i nie umiemy użyć klucza do konserw.

Nie mówiąc już o tym, że do otwierania pewnych butelek prawie nigdy nie używamy korkociąga.

Beta

Wąskie, strome uliczki, kamienne schodki i krużganki — oto średniowieczne centrum Dubrownika.

Fot. — autora



Andrzej Tokarczyk

Nauka — produkcja i „czynniki ludzki”

Zmiany organizacyjne, jakie następują w przemyśle nieuchronnie nasuwają konieczność naukowego ujęcia tego, co najogólniej nazwać by można czynnikiem ludzkim w przedsiębiorstwie. Już nie tylko w aspekcie moralnym, czy humanistycznym, ale wprost dla dobra samej produkcji, dla wyników produkcyjnych przedsiębiorstwa, ma kapitalne znaczenie sprawa stosunków w pracy, możliwości awansu, samopoczucia załogi, poziomu udogodnień socjalno-kulturalnych, koleżeństwa czy kumoterstwa, tzw. grup nieformalnych itp. itd. Żaden improwizator, żaden „znający się na ludziach” dyrektor czy kierownik personalny nie jest już dziś w stanie konkurować z doświadczeniami nauki o stosunkach międzyludzkich.

Ideal „złotej rączki”?

Ankieta, test czy wizyta w pracowni psychologicznej nie jest czymś niezwykłym i zaskakującym dla pracownika Fabryki Samochodów Osobowych na Żeraniu. Natomiast poczynione tu wstępne obserwacje mogą mieć spore znaczenie praktyczne. Oto np. wśród pewnej kategorii robotników żerańskich na ogół „trzydziestolatków”, silnie występują objawy zniechęcenia do powtarzania stale jednych i tych samych czynności, związanych z obróbką jednego i tego samego detalu. Ale kierownictwo produkcji odrzuca z reguły ich prośby o zmianę stanowiska roboczego co pewien czas.

Wiadomo, jaką plagą dla tego typu zakładów co FSO jest fluktuacja załogi, zwłaszcza młodzieży. Czyżby nie było związku między tymi zjawiskami? Zakład Studiów nad Pracą Instytutu Organizacji Przemysłu Maszynowego przeprowadza także wstępne badania, których wyniki z pewnością wiele wyjaśnią. Podobne zjawisko rutynizowania ludzi, zamieniania ich w najprostsze automaty, występuje choćby w Zakładach Lamp Radiowych im. R. Luksemburga w Warszawie, gdzie pracują kobiety o... najdelikatniejszych w Polsce rękach. Tylko, że idealnie tzw. „złotej rączki” przyjdzie niedługo odłożyć do lamusa, w miarę jak pracę ręczną eliminować będzie automatyzacja. W nowoczesnym przedsiębiorstwie nie jest ideałem człowiek idealnie naśladujący ruchy najprostszego maszyn, ale człowiek myślący.

Postęp techniczny i automatyzacja procesów produkcyjnych odbywa się daleko szybciej niż się na ogół przypuszcza. Chodzi jednak o to, aby te zmiany łączyły interes załogi z interesem przedsiębiorstwa. Jakiegokolwiek próby wartościowania pracowników dużej fabryki w zależności od ich rekordów nierzeczywistych uznać by należało — wobec perspektywy auto-

matyzacji — za objaw krótkowzroczności.

Czas natomiast i miejsce na badania i obserwacje efektów dobrego, zespołowego działania, powstawania właściwej atmosfery pracy, stabilizowania się załogi itp. Na szczęście wiele przykładów wskazuje na to, że w tym kierunku pójść młode, ambitne i pionierskie w Polsce badania naukowców nad „czynnikiem ludzkim” w przedsiębiorstwie. W kierunku przyjmującym postęp techniczny i automatyzację za proces obopólnie korzystny, ze wszech miar pożyteczny i... nieunikniony.

Psychologia na etacie

W Fabryce Budowy Traktorów „Ursus” pod Warszawą i w Zakładach Mechanicznych im. Nowotki w Warszawie specjaliści badają przyczyny powstawania wypadków przy pracy, wpływ kolorów na samopoczucie, stosunki koleżeńskie, stosunki w pracy itp. zjawiska. Związek ich z produkcją jest oczywisty. Naukowcy napotykać jednak w swej pracy poważne trudności.

W przemyśle maszynowym działają już jedenaście pracowni psychologicznych. Pracownice psychologiczne istnieją także w przemyśle chemicznym, włókienniczym, górnictwie, hutnictwie i w innych gałęziach przemysłu. Brak jednak wykwalifikowanych fachowców, brak socjologów i psychologów. Brak pomocy naukowych i odpowiedniego wyposażenia pracowni. Postulaty naukowców długo czekać muszą na realizację. Wielu dyrektorów zakładów po to tylko właściwie zatrudnia naukowców, żeby mieć co pokazać... wycieczkom zagranicznym, gdy o „coś takiego” zapytają.

Czynnik ludzki w przedsiębiorstwie — to oczywiście nie tylko badania prowadzone przez socjologów i psychologów. To także palące sprawy szkolenia załogi, stylu pracy nadzoru technicznego, należytego wykorzystania tzw. bodźców płacowych i nie tylko płacowych. Konieczne jest jednak szybkie skoordynowanie tych badań i poczynić. Zakład Studiów nad Pracą Instytutu Organizacji Przemysłu Maszynowego przygotowuje obecnie materiały do analizy działalności pracowników psychologicznych, które posłużą do opracowania wstępnego programu koordynacji badań.

Nie wszędzie jednak myśli się o tym zawczasu. Psychologowie skarżą się m. in. na niemożność zapatrzania się w testy z instrukcjami i pomocy naukowe. A przecież mogłaby je wydrukować Pracownia Psychometryczna PAN i udostępnić szerokiemu ogółowi psychologów zatrudnionych w przedsiębiorstwach. Jak najszybciej też trzeba wszystkie te kierujące poczynania naukowców włączyć do planu reorganizacji i modernizacji naszego przemysłu.

Przed erą robotów

Sekretarka właśnie mi tłumaczyła, że dyrektora nie ma i nie wiadomo kiedy będzie, kiedy weźle jej koleżanka i spytała:

— Pani Basiu, czy ten konserwator od maszyn był już w tym miesiącu, czy dopiero przyjdzie?

— Ma być lada dzień. A co się stało?

— Nic takiego. Taśma już zużyta. I tak się strasznie poplątała, że nie mogę pisać. Trzeba założyć nową.

No proszę. A tu poniekąd już osiemnastą nawet dowcip komponować na temat politechnizacji. Bo to — powiadają — już do znudzenia. Weźmiesz gazetę, politechnizacja. Otworzysz radio, politechnizacja. Konferencja czy narada lub komitet rodzicielski, to samo. Zebranie wędkarzy, degustacja, zgaduj-zgadula, teleturniej też politechnizacja (o rany, czymś przypadkiem na punkcie tej politechnizacji nie dorobili się małego tak zwanego szmerla?).

Bo ja wiem? Tylko, jeżeli nawet dostaliśmy trochę kuku na muniu, to tylko cieszyć się wypada, że po latach pustego gadania nareszcie w tym szaleństwie jest metoda. I to metoda mądra, oparta na rezygnacji z doraźnych efektów, wykoncypowane z myślą o trwałych skutkach za parę czy parę lat, za pół czy ćwierć pokolenia. Albowiem jeżeli by miało tak być, jak dotychczas i tak dalej się rozwijać, to już lepiej od razu dać się zamknąć w pensjonacie wyszczepianych apartamentów bez klamek, niż pędzić życie w rosnącym prymitywie.

Przesada? Zbyt ostro, niesprawiedliwie? Ano rozejrzyjmy się odrobine.

Pewnie, że nie ma znowu tak wiele maszynistek potrzebujących mechanika do zmiany taśmy. Ale śmiem twierdzić, że jeszcze mniej jest takich, które by przed fajerantem, lub bodaj co parę dni, oczyszczyły czcionki i odkurzyły to narzędzie swej pracy, to źródło zarobków i utrzymania. Bardzo mało nie tylko dlatego, że im się nie chce, albo że nikt od nich tego nie wymaga, ale i że zwyczajnie nie umieją.

Tylko że maszyniści, to mikronowy fragment straszliwego zjawiska ignorancji, co mówię, obojętności... Ba, żeby tylko to, wręcz niechęci, więcej, nienawidzi żywiołowej i bezmyślnej do wszelkich maszyn, urządzeń, aparatów, narzędzi. Do wszystkiego, co ktoś wymyślił i ktoś skonstruował po to, żeby komuś było łatwiej, wygodniej, bezpieczniej, piękniej.

Piękniej? Proszę bardzo, oto światła naszego miasta, la ville lumiére, neony. Tu brak lifery, tam kawałka rysunku, gdzie indziej miga, albo w ogóle nie. A są przecież ludzie, którym się płaci za stałą opiekę, za to, żeby to działało jak należy. Guzik ich to obchodzi. A zegary uliczne? A windy w mieszkalnych wieżowcach?

Mało wśród nas takich, co to ich nagła krew załewa, kiedy im jakiś urządzenie źle działa. Nawet w restauracji

Takie sobie rozważania

Kazimierz Młynarz

KINO DOBRYCH FILMÓW

Znawcy kina coraz częściej sięgnąwszy bardzo doniosłe zjawisko, które niewątpliwie zdecyduje o losach kinematografii w najbliższej przyszłości. Oto na skutek agresywnych poczynań mrugającej muzy, telewizji — wśród dotychczasowych konsumentów filmowej strawy następuje charakterystyczne rozwarstwienie i wyraźny podział na dwa obozy: Jeden tworzą ci, najwierniejsi z wiernych, uznający film za wspaniałą sztukę i najdoskonalszą rozrywkę, drugi — ludzie wygodni, którzy, miast wędrować do kina na trudne, często filmy, wolą zamknąć się w zaciszu domowego ogniska i bez szemrania przyjmować to, co telewizja im do wierzchni podaje.

Innym słowy, powtarza się sytuacja, jaka kiedyś zaistniała w stosunkach teatru z filmem: cicha, ale nieustanna walka o wpływy, walka o zaskarżenie sobie stałych względów masowego widza, tego, kapryśnego władcy i pana. Powoduje ona dwojakie konsekwencje. Po pierwsze: film, przemawiając do mniejszości, się, ale poważnie traktującą go grupę ludzi, sam niejako poważnie i z szacunkiem traktować musi sprawy. Po drugie: pragnąc utrzymać przewagę w konkurencji z telewizją, w rozpowszechnianiu swoich zdobyczy, musi się nawiązać na akcje zorganizowane, oparte na jakichś racjonalnych podstawach. W ostatnich latach pojawiły się całkiem rozsądne inicjatywy, zapewniające filmowi spokojną przyszłość: akcja dyskusyjnych klubów filmowych, organizowanie rozległej sieci klubów szkolnych i wreszcie ostatnio — kina dobrych filmów. Mamym ich na razie w Polsce pięć, należy jednak przypuszczać, że ta liczba niebawem znacznie się powiększy.

Począwszy od lutego, placówka taka istnieje też w Poznaniu i korzysta, jak wiadomo, z gościnności kina „Gwiazda”. Cieszymy się, że takie kino mamy, ale nasza radość nie jest znów aż tak wielka, byśmy nie dostrzegali drugiej strony medalu.

Wątpliwość zasadniczą budzi przede wszystkim uplasowanie kina dobrych filmów, placówki w zasadzie niekomercyjnej,

w normalnym, dochodowym kinie, ciulającym skrupulatnie złotówkę dla zaokrąglenia planów finansowych Wojewódzkiego Zarządu Kin. Stąd ta, groźba budząca, dwutorowość programu: wieczorem — arcydzieło, ale rano — chała. Ten sam lokal, nazwany dumnie Kinem Dobrych Filmów, przez połowę dnia staje się azylem dla wszetecznych sierotek po Tarzanie i, nieodżałowanej pamięci, lady Chatterley. Woła to, oczywiście, o pomstę do nieba, albo nieco bliżej.

Druga rzecz. Skoro już w zwykłym kinie umieszczono ośrodek kultury filmowej, to szkoda, że równocześnie nie pomyślano o zmianie kategorii kina, co w tym wypadku byłoby zgoda pożądaną. Wiadomo powszechnie, że na ekranach normalnych kin ginie naturalna śmiercią cały szereg wybitnych filmów, które nie znalazły zrozumienia u masowego odbiorcy. Można by je więc od razu kierować do kin dobrych filmów, a te, swoim autorytetem uchroniłyby od klęski niejedno arcydzieło. Istnieje jednak wielkie tabu: kategoria kina, odrzucająca, niejako automatycznie wszelką możliwość wyświetlenia w „Gwieździe” filmu, zanim ten uświerni się z kretesem w „Apollo”. Problem postawiono na głowie, dzięki czemu o kategorii kina decyduje nie poziom, prezentowanych obrazów, ale liczba przymocowanych do podłogi krzeseł. Skoro innej drogi wyjścia nie ma, stwórzmy dla kin dobrych filmów pojęcie kategorii „S”, na wzór i podobieństwo gastronomii. Dlaczego — o, bogowie! — pijany, obżarty Bachus ma triumfować nad Apollinem — słusznie zatroskanym krętymi losami najmłodszemu z muz?

Nie daję nam również spokoju sprawa młodzieży. Absolwent liceum wie doskonale, że sonet rymuje się abba, nie ma natomiast zielonego pojęcia o filmowym montażu, co, oczywiście, nie jest jego winą. W epoce kina, władze oświatowe nadal lansują, nie bez uporu, model kultury literackiej, nie przyjmują do wiadomości, że spośród tych, dwustu dwudziestu milionów, które co roku chodzi do kina — lwia część stanowi młodzież. Wylania się więc, siła rzeczy, problem kontaktów kina z młodzieżą, z młodocianym widzem. Mamym tu przecież pewne wzory, choćby dawnego kina studyjnego z kina „Warta”, które było zjawiskiem bez precedensu, gdyż po raz pierwszy w Polsce realizowało pomysły wprowadzenia nauk o filmie do szkół średnich. Warto by, jak sądzę, do tych tradycji z pożytkiem nawiązać. Przyszłość kultury zależy od prawdziwie kulturalnego widza; jeżeli zlekceważymy filmową edukację młodzieży, film gotów powrócić do swej formy pierwotnej: płaskiej, jarmarcznej rozrywki.

Feliks Fornalczyk

Ludowy arkusz zamówień

Po konkursie czytelniczym (2)

Konkurs czytelniczy „Głosu” i Domu Książki zgromadził ponad 250 odpowiedzi ankietowych, z czego tylko pojedyncze osoby nie odpowiedziały w ogóle na drugie pytanie, dotyczące najpotrzebniejszych książek o regionie wielkopolskim. Tylko 4 odpowiedzi użyły enigmatycznej odpowiedzi, że oczekują książki „dobrej”, „ciekawej i zajmującej”, „szerzej traktującej teren, estetycznej — taniej”. Cała reszta uczestników ankiety określiła w sposób nader szczegółowy i dokładny swoje wymarzone bądź po prostu tylko niedostępne w księgarniach książki.

Zainteresowanie książką historyczną zdecydowanie przeważa nad książką o tematyce współczesnej. Znaczna część głosów — 27 — zadeklarowała zainteresowanie wyłącznie książkami historycznymi, po dając jedynie takie bliższe wskazówki, jak to, że w historii pasjonuje je tematyka „oby-czajowa”, „wiek XVIII do XX”, książki „budujące”, „wychowawcze”, „dla młodzieży”, „nowelki historyczne”. Inni miłośnicy tematyki historycznej precyzowali swoje zainteresowania znacznie bardziej specjalistycznie. Spora liczba — 25 odpowiedzi — pasjonuje się początkami Państwa Polskiego i rolą w tym czasie Poznania i Wielkopolski.

Oddzielną grupą życzeń — 28 głosów — były postulaty odnośnie wydania monografii historycznych miast Wielkopolski. Oczywiście największą głosów upomniało się o monografię Poznania, pojedyncze głosy domagały się wydania monografii Gniezna („Gniezno na przestrzeni wieków”), Gostynia, Rogoźna, Rydzyny („O Sulkowskim, Leszczyńskim”). Pojęcie pewne tego, jak wyobrażają sobie uczestnicy ankiety ten rodzaj monografii, dają niektóre propozycje tytułów: „Poznań — serce Wielkopolski”, „Poznań — piękno i historia”, „Poznań i Wielkopolska — wczoraj, dzisiaj i jutro”, „Poznań — stare i nowe dzieje”. Niezależnie od powyższego, popularnego ujęcia historii miasta, wysunęto propozycję przygotowania gruntownej monografii naukowej Poznania. Głosów takich było 6.

Dość znaczna liczba uczestników ankiety — 19 osób — widziałaby chętnie udokumentowane, źródłowe opracowania naukowe zagadnień kultury i obyczajów Wielkopolski. Przedmiotem takich edycji miałyby być „tradycje i stare obyczaje”, zbiór „baśni i legend”, „kultura ludowa”, „folklor”. Parę osób wyraża przy tym życzenie, ażeby mogły być także wybory legend i baśni ludowych „łatwie w czytaniu”. Jedna z czytelniczek widzi ponadto potrzebę

wydania monografii zagadnień społeczno-kulturalnych Poznania w XX-leciu międzywojennym, ktoś inny przygotowania książki „o Wielkopolsce — kołysce wzoru pracy”, a jeszcze inny — opracowania „charakterystyki społeczeństwa m. Poznania na przestrzeni ostatnich 60 lat”.

Jak wskazuje dotychczasowe omówienie, chodzi tu właściwie wyłącznie o dzieła treści naukowej. Ale to jeszcze nie koniec społeczno-gospodarczego i uczonych poznańskiego ośrodka akademickiego. Oto bowiem 7 uczestników ankiety z przyjemnością przeczytałoby dzieło pod wywoławczym hasłem „Wielkopolska w dziejach Polski” — bowiem, jak pisze jeden z nich,

W poprzednim „Głosie Tygodnia” wydrukowaliśmy pierwszy odcinek artykułu F. Fornalczyka pt. „Ludowy arkusz zamówień książkowych”, omawiającego konkursową ankietę zorganizowaną w maju br. przez Dom Książki i redakcję „Głosu”. Dzisiaj zamieszczamy część drugą i ostatnią, poświęconą gustom i życzeniom czytelników książek. (red.)

„jedna książka nie załatwi wszystkiego, co by można powiedzieć o Poznaniu czy Wielkopolsce”. Teraz dopiero przychodzi kolej na zamówienie literackie: 6 głosów upomina się o „powieści biograficzne o wybitnych Wielkopolanach”.

I dalej, pojedyncze zgłoszenia, do lektury powieści historycznej o okresie reformacji, z charakterystyczną uwagą: „dobrej”, do powieści o okresie odrodzenia i „nowoocześnie napisanej książki o czasach średniowiecza w Poznaniu”. Pojedyncze głosy wnoszą także sprawę książki o architekturze m. Poznania oraz o historii teatrów poznańskich, o „walce z zabobonami” i o mieszczaństwie Poznania XIX i XX wieku.

Nieporównanie duże jest natomiast zainteresowanie czytelników wszelkiego rodzaju wspomnieniami, pamiętnikami, dokumentacją wręcz kronikarską. 8 osób chętnie by przeczytało więcej książek w rodzaju „przechadzek po Poznaniu” Marcela Mottiego, 10 osób w ogóle wspominki z życia dawnego Poznania („jest tyle książek o starej Warszawie, a o Poznaniu...?”), pisze jeden z czytelników, 5 osób kieruje swoje zainteresowania w kierunku wspomnień o przedwojennym i wojennym Poznaniu, 3 osoby mają zamiarowienia czytelnice jeszcze bardziej sprecyzowane — pragną przeczytać książki o życiu poznańskiego proletariatu w okresie przedwojennym.

Jeśli chodzi o nasz wiek XX, to ta potrzeba zdobycia autentycznej wiedzy, bezpośrednio od świadka wydarzeń, ogarnia głównie te trzy dziedziny czasów i spraw: Powsta-

nie Wielkopolskie — 17 głosów, II wojna światowa i okupacja Wielkopolski — 22 głosy oraz pierwsze lata po wyzwoleniu — 6 głosów. W wypadku Powstania Wielkopolskiego czytelników interesuje zarówno sam przebieg walk, jak i ogólniejsze tło życia Polaków w zaborze pruskim. W odniesieniu do II wojny i okupacji zainteresowania czytelników są bardziej zróżnicowane, i są zapewne powodowane różnymi pobudkami.

Zaznacza się tu zwłaszcza zainteresowanie pierwszym okresem wojny i okupacji, który — zdaniem czytelników — został potraktowany po macoszemu zarówno przez ośrodki badawcze, autorskie, jak i wydawnicze. Uczestnicy ankiety — paru głosami — okazują zainteresowanie pracami, omawiającymi szlak bojowy poznańskich jednostek wojskowych w kampanii wrześniowej. Podnieśli też — także paru głosami — niedostrzeżone zasługi ruchu oporu wśród poznańskich harcerzy i uczniów szkół. Na ten temat nieco szerzej wy-

powiedział się w ankiecie p. Zdzisław Górka z Poznania: „Np. o bohaterstwie i męczeństwie poznańskich dzieci — harcerzy i uczniów, którzy w pierwszych latach okupacji hitlerowskiej podnieśli wysoko na ziemi wielkopolskiej sztandar walki i zginęli zgilotynowani — w hitlerowskich kazamatach. Czy im się nie należy parę słów wspomnienia? Dlaczego o nich zapomniano?”.

Szerzej głosów upomina się o książki, mające za temat wysiedlenia Polaków z Wielkopolski.

Bo przecież lata okupacji to nie tylko bierność poddanie się przemocy, to także okres uporczywej walki z hitleryzmem, prowadzonej różnymi sposobami, na różnych polach życia społecznego, politycznego, gospodarczego... Jeden z uczestników ankiety proponuje na przykład wydanie wspomnień uczestników walk o Cytadellę. Inny czytelnik opracowanie literackie walk z bandami na terenie Wielkopolski w latach 1945—46. Za godne uwagi uznano także podjęcie w podobnym opracowaniu tematu doświadczeń życiowych żołnierzy I Armii, którzy osiedlili się w Wielkopolsce, albo roli Poznańskiego w umocnieniu polskości na Ziemiach Zachodnich.

Tematów, propozycji nowych opracowań, nowych książek, dosłownie krocie. Jak na pierwsze spotkanie tego rodzaju z czytelnikami, jak na pierwszą próbę zasięgnięcia u nich właśnie opinii o książkach, które chcieliby przeczytać, plon nadspodziewanie obfity. Są to przecież nie żadne wymysły — pomysły, to wynikająca z rzeczywistych potrzeb rozumu i serca karta zamówień. Każdy z powołanych do zaspokojenia tych potrzeb znajdzie tu na pewno coś dla siebie, coś do wykazania się dobrą robotą.

Najpikantniejsze pozycje zamówień zostawiłem sobie jednak na samo zakończenie tego artykułu. Wicie, jakich książek łaknie zwykły Wielkopolanin? Nie zgadniecie. Oto porządkich przewodników turystyczno-krajoznawczych po województwie. Oto pozycje w bardziej luksusowym wydaniu, sposobnych na podarunek, o charakterze albumu Poznania, ale z kolorowymi reprodukcjami — głosów tego rodzaju jest kilka. Oto powieści współczesnej „o radościach i kłopotach prostego człowieka”, „o codziennych zjawiskach chleba”, „o życiu powszednim, troskach, zmartwieniach i oczywiście o zadowoleniu z życia”.

Najczęściej przewijającym się przy tej okazji życzeniem jest to jedno — aby to była książka dobra, ciekawa, zajmująca, barwna. Pojedyncze głosy dodają, że mogłaby to być książka zabarwiona, lokalnym kolorytem, gwarą poznańską, „ujęta humorystycznie”, „pisana wesoło”, „satyryczna, dowcipna, ostra, ale pogodna”. Są tu i bezpośredni adresaci tych, już nie tyle społecznych, co szczerze ludowych arkuszy zamówień książkowych. Eugeniusz Pauksza, Arkady Fiedler... Panu Arkademu podsuwają od razu tytuł: „Poznańskie pachnące zbożem”. Co wy chcecie, to przecież znakomita historia ta ankietowa rozmowa z czytelnikami! Już dawno nie miałem takiej satysfakcji podczas lektury.

Droży Czytelnicy, którzy zechcielibieście zabrać głos w owej majowej ankiecie konkursowej, serdecznie Wam za tę decyzję dziękuję. W imieniu własnym i innych.

Mieczysław Skąpski

W kolizji z potrzebami

trebami współczesności. Jest przecież rzeczą niezmiernie ważną ustalenie tego, co w obecnych programach stanowi balast i — czego w nich brak. Takie ustalenie wytycza już dość jasno kierunek ewentualnych zmian.

Kierując się takim właśnie celem, podstawowe organizacje partyjne PZPR na poznańskich wyższych uczelniach przeprowadzały w bieżącym roku analizę programów nauczania na

Sprawy poznańskiej nauki

tych uczelniach. Praca ta dała ciekawe wyniki. Okazało się, że zresztą nie było bynajmniej niespodzianką, że sporo jest w programach treści o wcale nieprzewidywalnym znaczeniu, że niektóre sprawy omawia się kilkakrotnie, że wreszcie wielu ważnych problemów w ogóle nie ma w programach. Ale — mówmy konkretnie.

Oto Wyższa Szkoła Rolnicza. Kilka tylko uwag o nauczaniu na tej uczelni. Przy studiowaniu problemów gleboznawstwa, zbyt dużo czasu poświęca się zagadnieniu genety i typologii gleb; przy nauczaniu uprawy roślin oraz uprawy łąk i pastwisk — zbyt wąsko potraktowane są (jakże ważne!) zagadnienia melioracji rolnych; program maszynoznawstwa jest nazbyt teoretyczny i przystosowany raczej dla konstruktorów, a nie dla eksploatatorów, których wychowuje przecież

WSR; w nauce fitopatologii zbyt silnie rozwinięta jest część historyczna, kosztem wiadomości o nowoczesnych środkach walki z chorobami roślin; zjawisko osmozy i ciśnienia osmotycznego figuruje w programie fizyki, chemii, botaniki, fizjologii roślin itd. Chyba nie ma potrzeby kilka krotnego omawiania od podstaw tych samych zagadnień w programach kilku różnych przedmiotów.

Teraz kilka przykładów z Politechniki Poznańskiej. Wylania się tu dyskusyjna zresztą kwestia rezygnacji ze ścisłych specjalizacji, gdyż w praktyce absolwent PP i tak rzadko w swojej specjalności pracuje. Natomiast większe nastawienie teoretyczne pozwala samodzielnie szybko przystosować się do poszczególnych specjalności. Pilna jest sprawa wykorzystania aparatury, której pewne katedry nie wykorzystują w pełni, inne zaś nie mają jej wcale. W istniejącej strukturze uczelni trudno ten problem rozwiązać. Potrzebne są więc zmiany zmierzające do tworzenia zespołowych laboratoriów, koncentrujących aparaturę i podległych specjalnym kierownikom technicznym, którzy by zapewniali sprawiedliwe korzystanie z aparatury wszystkim wydziałom i katedrom. Zlikwidować należałoby wykład historii techniki i przejść na samodzielne przyswojenie tego materiału przez studentów.

Na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza rysuje się wyraźnie potrzeba przyznania radom wydziałowym szerszych kompetencji dla wprowadzania, zależnie od posiadanej kadry specjalistów, różnych nowoczesnych specjalizacji. Być może w ten sposób dałoby się eliminować takie nieprawidłowości, jak na przykład zbyt mały wymiar godzin na Wydziale Prawa dla prawa gospodarczego przy tak wielkim zapotrzebowaniu na radców prawnych, albo ograniczenie wymiaru godzin filozofii (180 godzin, gdy dla prawa gospodarczego 60). Na Wydziale Prawa zmniejszono już znacznie zakres nauczania historii. W

Dokończenie na str. 4

Pytanie co robić, by niezwykle postęp nauki zmieścić w aktualnych programach nauczania na wyższych uczelniach, nie od dziś wprawdzie uwagę. Jest bowiem swoistym paradoksem, jeśli świeżo upieczony absolwent jakiegos kierunku specjalistycznego, zupełnie się nie orientuje, co aktualnie „piszczy w trawie” jego specjalności — w kraju i na świecie. A tak, niestety, niejednokrotnie bywa.

Innym problemem naszych czasów jest jak przyswajając studentom to, co przewiduje program. Metoda wykładu zdaje się przeżywać, zbyt wiele zajmuje czasu. Coraz więcej zadań trzeba składać na karb samodzielnej pracy studenta, zapewniając mu odpowiednią liczbę podręczników, skryptów i innych pomocy naukowych. Podczas ćwiczeń i seminariów daje się mu niejako „do ręki” sposoby korzystania z tych pomocy, by samodzielnie zdobywał wiedzę.

Zarówno zmiany programowe jak i zmiany metody nauki — nie są łatwe w środowisku, gdzie każda uczelnia, wydział, każda katedra — to samodzielne jednostki, gospodarzące się stosownie do koncepcji i indywidualności kierowników, niechętnie przyjmujące sugestie z zewnątrz. Ktoś musi wszakże wziąć na siebie trud analizy i syntezy zjawisk w dziedzinie programów nauczania, ktoś musi się pokusić o namalowanie pełnego obrazu tych zjawisk — nie tylko na jakimś wydziale czy uczelni, ale w ramach całego wielkomińskiego środowiska naukowego, na przykład poznańskiego.

Jak we wszystkich dziedzinach naszego życia, tak i w kręgu nauki, kierowniczą rolę odgrywa partia. Wprawdzie partia unika ingerowania w szczegóły bardzo specjalistycznych spraw poszczególnych kierunków nauki, ale natomiast wszystkie sprawy mające szersze znaczenie nie mogą jej być obojętne. I też nie są. Do takich zaś z pewnością należy kwestia kolizji aktualnych programów nauczania z po-

Szymon Kobyliński

... opowiada

Siedzimy we troje w studio Warszawskiej Telewizji. Za chwilę rozpocznie się nasz program. Reżyser rozstawia kamery. Światło jupiterów grzeje niemilosierdzie. Z nas trojga tylko Szymon Kobyliński jest spokojny. Reszta, to znaczy, nasz gość, pan Munro Leaf, autor „Byczka Fernando” i ja, tłumaczka trochę nadrabiamy minę.

Czerwone światło, i: „Otóż moi kochani, dawno temu w Hiszpanii...” Otóż nie dawno temu, a dziś, i nie w Hiszpanii, a w Warszawie... — rzeczowy spokój pana Szymona, zainteresowanie tematem, a nie swoją osobą, tak konieczne, by znaleźć kontakt z widzami, udziela się i nam.

Gdy po wizji dziękuję panu Kobylińskiemu za „wsparcie”, mówi:

— Ale, ale... Pani zajmuje się Afryką. To pani z kolei musi mi pomóc. Robię dla Państwowego Instytutu Wydawniczego ilustracje do nowego wydania „W pustyni i w puszczy”. Będzie to dokładna dokumentacja peregrinacji Stasia i Nel. Mam już wszystko, brak mi tylko opisu i wyglądu plemion z okolic Jeziora Rudolfa w Kenii. Nie są to Watusi ani Samburu...

Stają zdumiona. Pan Szymon zawstydza mnie swoją znajomością przedmiotu. Kto komu mógłby tu pomóc!

— O, tu jest ptactwo, tu zwierzęta, a tu ludzie, pokazuje mi tablice ornitologiczne, różne typy Afrykanów, jakie Staś i Nel napotykali w swej wędrówce w górę Nilu.

— Tak więc ilustrator przygotowuje się do swojej pracy?! — ogarnia mnie zdumienie.

— A tak. Bo dzieci nie obchodzi moja własna, prywatna „wizja”, Murzyna. Chcą wiedzieć, jak jest na prawdę. — Pan Szymon zapala się. To jego zasada: jego „credo”: Odpowiedzialność twórcy wobec odbior-

cy. Toteż w zależności nad czym pracuje, Kobyliński zamienia się w etnografa, antropologa czy badacza operetki wiedeńskiej.

„Jest jeszcze jeden aspekt sumiennego przygotowania pracy iluminacyjnej, a mianowicie, kolosalne wzbogacenie własnego warsztatu. Po prostu: wiesz więcej, masz do wyboru więcej. Masz szeroki wybór. Nie zmusza cię do abstrakcji brak wiedzy o naturze”.

To fragment jego felietonu — eseju, których cykl pod tytułem „Proch o ścianę”, ukaże się wkrótce nakładem Czytelnika.

Bo Szymon Kobyliński to nie tylko ilustrator książek dla młodzieży i uroczy gawędziarz — to również publicysta.

— Wie pan, pana rysunki w „Polityce” kojarzą mi się z „Myślami nieuczesanymi” Leca. Przy prostej formie są tak bardzo bogate w myśl. Takie inne od tradycyjnej satyry rysunkowej.

— Staram się, żeby dowcip rysunkowy przemawiał zwykle, samym rysunkiem, a jeśli ktoś zauważy tam jeszcze jakąś myśl, cóż, jest mi przyjemnie.

— Wie pan, z kim jeszcze pana porównam? Ze Steinbergiem! — rzucam olśniona odkryciem.

— O, to dla mnie komplement... Ale w związku z Steinbergiem przypomina mi się pewne zdarzenie: Kilka lat temu, na Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie, strasznie chciałem zdobyć ostatni zbiór szkiców tego genialnego rysownika. Tytuł zbioru — „Paszport”. Poszedłem więc do stoiska jego wydawcy i swoją kulawą angielszczyzną spytałem: „Have you „Passport”? Brytyjczyk zbladł jak ściana, myśląc już Bóg wie co, i wybałał: „Foreign Office”. „Nie, czy ma pan „Paszport” Steinberga”, wyjaśniłem. Anglik był tak rozanielony, że dostałem aż dwa egzemplarze.

Do cech, jakie nasuwają się przy kontakcie z Kobylińskim, trzeba dodać jeszcze jedną: dowcip. Wyborny, pogłębiony rozległą wiedzą: a jednocześnie prosty i zrozumiały dla wszystkich.

— Tyle rzeczy pan robi! Skąd te wszystkie pomysły, panie Szymonie?

— Każdy dzień przynosi ich pełno. A poza tym pomagają mi inni. Moja żona, syn Maciek. Ale wtedy lojalnie zaznaczam. Robię gwiazdkę z literką „M” na przykład, lub „pl” (plagiat) zastrzeżę pan Szymon. — Pomagają również nasze zwierzęta: Czikuń, Klara.

— Był u nas również jeź, ale trzeba go było oddać, bo miał bardzo zły charakter — dodaje Maciek.

Rozmawiała:
EWA BERBERYUSZ

Eugeniusz Paukszta

Sztuka i obyczaj

Dla wielbicieli pięknej sztuki graficznej wydawnictwa przygotowały w ostatnich tygodniach rzadkiej urody prezenty, zarówno od strony edytorskiej, jak od zawartości treściowej.

Zacząć by należało od wydanej przez „Ossolineum” głośnej od półwiecza, klasycznej już pracy szwajcarskiego historyka sztuki, Henryka Woelfflina „Podstawowe pojęcia historii sztuki”, ukazującej wewnętrzną budowę dzieła artystycznego i uczące poznawać rządzące sztuką prawa. Jest to jak gdyby podstawowy przewodnik do zakłętego świata sztuki niosącego za sobą pełnię doznań artystycznych i dlatego pożyteczną tę szczególnie należy polecić.

W tymże „Ossolineum” w pięknej szacie graficznej wydana została dwutomowa, głośna „Historia estetyki” Władysława Tatarkiewicza, dzieło o skali przekraczającej granice Polski. Autor

zajmuje się nie tylko estetyką filozofów w jej rozwoju, ale analizuje na równi estetykę teoretyków sztuki i estetykę artystów, nierzadko sięgając w dowodach do analizy wybitnych dzieł. Dodatkową zaletą dzieła jest włączony w ramy pracy bogaty zbiór źródeł.

„Wydawnictwo Literackie” w Krakowie opublikowało nadzwyczaj starannie potężny tom studiów Stanisława Wasylewskiego „Życie polskie w XIX wieku” w opracowaniu Zbigniewa Jabłońskiego. Książka, nad którą autor pracował blisko dwadzieścia lat, a która, niedokończona, nie ukazała się za jego życia, to próba naszkicowania przekroju społecznego Polski XIX wieku. Ta próba nie udało się w pełni, w obrazie jest sporo luk, sporo zagadnień potraktowanych marginesowo i o syntezie stulecia trudno byłoby mówić. Natomiast w książce jest cały Wasylewski, namiętny zbieracz drobnych realiów, od spraw zasadniczych po facycje i anegdotę. I tutaj jest on niezastąpiony, naprawdę trudno o barwniejszy, zręczniejszy zbiór faktów i ciekawostek z tak bujnego okresu naszego życia narodowego.

I inne wydawnictwa sięgają po tematy związane z przeszłością, ukazywane nie poprzez powieści czy esayse, ale poprzez wybory odpowiednio segregowanych tekstów. I tak Wydawnictwo Łódzkie, zasłużone kontynuującą ciągle serią „Książki humoru polskiego”, opublikowało teraz w opracowaniu Zbigniewa Kuchowicza wybór „Anegdoty, facycje i sensacje obyczajowe XVII i I połowy XVIII wieku”, doskonały przewodnik, żartobliwy, ale i nie poz-

bawiony wymowy społecznej po Polsce okresu kontrreformacji i baroku, ukazanej przez oryginalne teksty staropolskie, w większości po raz pierwszy publikowane drukiem. Żal tylko, że do wydania tak starannie edytorsko przygotowanej pracy zabrakło lepszego papieru.

Wydawnictwo Literackie opublikowało naprawdę uroczą, szperacką książeczkę Andrzeja Banacha „O wdzięczności przedmiotów”. Czegoż tu nie ma, jakieś dziedziny zbieractwa autor nie dotyka, jak się lubuje i w żołądkach z ołowiu i w fajkach czy nawet pamiętkach z włosów drogich osób. A wszystko to ma jakiś sens, potrafi ukazać epokę, słabości ludzkie i... wdzięczność zwykłych przedmiotów, które po prostu są po to, by pomagać gromadzić się wspomnieniom.

Barczo chciałbym polecić czytelnikom interesującym się sztuką dobrą i przez rzyście napisaną,

bogata, ilustrowaną pracę Krystyny Czarnockiej „Półtora wieku grafiki polskiej” („Wiedza Powszechna”). Jest to pierwsza u nas tak sumienna i pełna próba ukazania historii i charakteru grafiki polskiej w jej najbardziej zasadniczych przejawach.

Mamy i kilka albumów. W zdumiewającej swym edytorskim, najwyższej klasy poziomem „Auridze” ukazał się dawno zapowiadany album „Leon Wyczółkowski” z tekstem Marii Twarowskiej. Nareszcie więc mamy publikację ukazującą całokształt dzieła tego subtelного entuzjasty-wrażliwca, urzekającego zarazem głębią doznania. Twarowska w dodatku bardzo wnikliwie ukazuje sens tego świetnego malarstwa jak i jego znaczenie w rozwoju naszej sztuki. W „Arkadach” natomiast otrzymaliśmy nieco skromniejszy, choć bardzo też starannie wydany album „Zygmunt Waliszewski” w opracowaniu Macieja Masłowskiego. Waliszewski, poddany zawsze grze wyobraźni, co dynamizowało jego twórczość, dawało jej wspaniałą kolorystykę, podkreślało oryginalność, ożywia z reprodukcji, odświeżając jeszcze jedną kartę bujnych dzieł naszego malarstwa.

WAG w Krakowie opublikował natomiast arcyświetnie, „Poczet królów polskich Jana Matejki”, z uroczym wstępem Jana Parandowskiego, podkreślającym siłę wizji, dzięki której monarchów naszych nie umiemy inaczej już sobie wyobrazić, jak poprzez pędź mistrza Jana. Jeden szkopuł, że cena „Poczetu” wynosi aż 180 złotych. Drogo kosztują nasze na rodowe tradycje...

W kolizji z potrzebami

Dokończenie ze str. 3

ogóle zaś należałoby pozostawić szerokie pole dla indywidualnej inicjatywy wykładowców.

Istnieje też potrzeba rozszerzenia niektórych wykładów. Tak na przykład wykład astronomii wymaga poszerzenia o zagadnienia astronautyki, wprowadzić należy wykłady monograficzne cybernetyki. Zmian wymaga program nauczania geografii, gdyż absolwenci nie są tu przygotowani do podjęcia pracy w radach narodowych, czy komisjach planowania.

Na Akademii Medycznej widać nieproporcjonalny wzrost liczby godzin wykładów na niekorzyść ćwiczeń i zajęć praktycznych, gdy w tak wybitnie zawodowej szkole najważniejsze jest właśnie wyszkolenie praktyczne. Przedłużenie studiów lekarskich do 6, a farmaceutycznych do 5 lat — nie przyniosło spodziewanego rozładowania istniejącego przeciążenia na poszczególnych latach studiów; sprawa ta wymaga gruntownego zbadania i rewizji.

Wyższa Szkoła Ekonomiczna. Uczelnia prze-

prowadziła szereg zmian programowych, zatwierdzonych przez Ministra Szkolnictwa Wyższego. Pewną „elastyczność” zapewnia uczelni limit godzin na przedmioty kierunkowe i pomocnicze. Istnieje jednak tendencja ograniczenia tego limitu, czemu należałoby się przeciwstawić, gdyż byłaby to właśnie utrata szansy szybkiego przystosowywania się do światowego postępu nauki. Ujawniła się też dalsza potrzeba przeprowadzenia drobnych korekt wymiaru godzin, na przykład na kierunku handlowym zbyt dużo czasu poświęca się problemom spółdzielczości, a zbyt mało ekonomice transportu itp.

Z konieczności poruszyliśmy tutaj niektóre tylko problemy, zbadane i zanalizowane przez Partię na poznańskich uczelniach. I z tego jednak wynika wyraźnie jej kierownicza rola w rozwoju nauki, w usuwaniu kolizji między aktualnym stanem nauczania a potrzebami życia, w odkrywaniu nowych możliwości sprawniejszego realizowania przez uczelnie ich zadań.

MECZYSŁAW SKAPSKI

tualnych, aby im raz na zawsze przeszła tak bardzo „niemiecka” ochota do ciągłego krytykowania”.

Rola ekonomisty

Na łamach Życia Gospodarczego ukazał się artykuł Meczysława Kabaja i Mariana Krzaka pt. Co dalej Autorzy stawiają tezę, że kadry ekonomistów nie są u nas racjonalnie wykorzystywane, tym bardziej że gospodarka powinna przechodzić od metod ekstensywnych do metod intensywnych, co wymaga znacznego zwiększenia roli i wysiłku ekonomisty.

„Ruch zawodowy ekonomistów — czytamy — może spełnić poważną rolę wśród ekonomistów w gospodarce. Musi to być jednak ruch naprawdę ambitny, ofensywny, zorganizowany, odważnie podejmujący problemy usprawnienia metod gospodarowania. PTE powinno stać się organizatorem takiego właśnie ruchu. (...) Jesteśmy głęboko przekonani, że rozwój ruchu zawodowego w ramach PTE nie stoi w sprzeczności z charakterem Towarzystwa. Przeciwnie, jest wymogiem czasu „warunkiem, aby organizacja ta uzyskała pełne prawo występowania w imieniu wszystkich polskich ekonomistów, podejmowała się z pełną odpowiedzialnością i gwarancją realizacji ich postulatów gospodarczych i zawodowych”.

Postulat pierwszorzędnej wagi, zwłaszcza że na ponad 33 tysiące zatrudnionych ekonomistów z wyższym wykształceniem i ponad 90 tysięcy ze średnim, zaledwie 6 tysięcy należy do PTE.

O literaturze radzieckiej

Nowa kultura opublikowała artykuł naczelnego redaktora Literaturnej Gaziety Walerego Kosiolapowa pt. Kilka słów o nowych zjawiskach w literaturze radzieckiej. W. Kosiolapow pisze o najbardziej charakterystycznych zjawiskach w

literaturze radzieckiej, koncentrując się głównie na ostatnim okresie.

„Chciałbym powiedzieć przede wszystkim — pisze autor — o zdrowej atmosferze ideowej, która ustaliła się obecnie w środowisku pisarzy radzieckich, i która niezwykle sprzyja twórczości. Ogromna, zaiste nieoceniona rola w stworzeniu tej atmosfery odegrały znane wystąpienia N. S. Chruszczowa „O ścisłym związku literatury i sztuki z życiem narodu”, „Ku nowym sukcesom literatury i sztuki” jego przemówienie na III wszechzwiązkowym zjeździe pisarzy radzieckich, rezolucje XXII Zjazdu KPZR i uchwalony przez zjazd nowy program partii.

Ostry zwrot naszych pisarzy do tematów współczesności — taka jest najbardziej godna uwagi, ciesząca czytelników radzieckich, charakterystyczna cecha literatury radzieckiej naszych dni”.

Walka z gruźlicą

Nowa strategia — to tytuł artykułu Anny Szwed w Służbie Zdrowia. Artykuł ten poświęcony jest walce z groźnym wrogiem ludzkości — gruźlicą. Autorka porównując metody walki z tą chorobą społeczną w Polsce i takich krajach jak NRD, Czechosłowacja, Węgry, stwierdza, że te metody są u nas dość przestarzałe i mało efektywne, że przede wszystkim należy zważyć źródła zakażenia przez ich wcześnie wykrywanie i izolowanie oraz jeszcze szerzej propagować szczepienia BCG i stosować skuteczną chemioterapię. A ile kosztuje leczenie gruźlicy?

„Na leczenie w poradniach, szpitalach, klinikach i sanatoriach idzie (...) około półtora miliarda złotych rocznie, zaś na renty inwalidzkich i zasiłki — też prawie miliard. A gdyby tak dodać jeszcze do tego niemałe straty wynikające z długotrwałej absencji... Wniosek stąd tylko jeden: trzeba lepiej i mądrzej wykorzystywać środki, jakimi dysponu-

jemy w walce z gruźlicą, szczególnie zaś racjonalnie gospodarować bazą lecznictwa zamkniętego”.

Podstawą tego lecznictwa jest sanatorium i szpital, bowiem we wspomnianych wyżej krajach — zgodnie z nowoczesnymi poglądami — prewencji, jako odrębne placówki lecznicze, nie odgrywają znaczącej roli. Dlatego też i u nas wzrost liczby łóżek sanatorijskich mógłby iść w parze z ograniczaniem jej w prewencji.

Przestępstwa dewizowe

Najświeższe wydanie Prawa i Życia przynosi artykuł Eugeniusza Wojnara pt. Przestępstwa dewizowe w świetle praktyki. Autor omawia ustawy poświęcone walce z przestępstwami dewizowymi oraz przytacza przykłady tej przestępczości. Szczególnie jednak koncentruje swoją uwagę na przyczynach tego stanu rzeczy:

„Wśród przyczyn ważne miejsce zajmuje niewątpliwa łagodność i niezupełność naszego ustawodawstwa dewizowego. W związku z tym nasuwa się pytanie, czy w celu skuteczniejszej ochrony interesów fiskalnych państwa, a dewizowych w szczególności, nie zachodzi konieczność wprowadzenia pewnych zmian w naszym ustawodawstwie dewizowym, a przede wszystkim zaostreżenia kar za nielegalny obrót wartościami dewizowymi oraz ponowne wprowadzenie w życie zakazu posiadania bez kontroli państwa tych wartości, by tą drogą stworzyć skuteczniejszy oręż walki z podziemiem dewizowym”.

Odpowiadając na to pytanie, usiłuje E. Wojnar znaleźć jakieś rozwiązanie kompromisowe, zmierzające do wprowadzenia zakazu odnoszącego się do posiadania określonej ilości dewiz, żeby nie stworzyć sytuacji, w której każdy posiadacz dewiz popełniałby przestępstwo dewizowe.

Pogląd chyba słuszny i rozsądny.

LEKTOR



Pogrom „Spiegla”

W Polityce na szczególną uwagę zasługują dwie pozycje: szkic Jerzego Tepichla o Leninie mniej znanym pt. Nie prosła sprawa narodowa. O pierwszym szkicu tegoż autora pisaliśmy w naszym przeglądzie przed tygodniem. Drugą godną polecenia pozycją jest artykuł Stanisława Brodzkiego pt. Afera. Dotyczy on znanej już szeroko akcji policyjnej zakończoną nagłym aresztowaniem redaktorów zachodniemieckiego tygodnika „Der Spiegel”. Pretekstem akcji był artykuł o manewrach Bundeswehry.

„O 3 nad ranem — pisze Stanisław Brodzki — rozległ się dzwonek (...) kilkunastu komisarzy i inspektorów, kilkadziesiąt samochodów i ciężarówek, ponad stu policjantów przyszło dokonać rewizji w lokalach redakcji hamburskiego tygodnika „Spiegel” i w mieszkaniach jego redaktorów. Operację przygotowano w całkowitej tajemnicy. Po wojskowemu. Przecież wyżsi dowódcy Bundeswehry, swego czasu generalowie Wehrmachtu jak Foertsch, Speidel etc. mają nie małą zaprawę w nagłych akcjach od „Fall Weiss” z 1 września 1939 do „Barbarossa” z 22 czerwca 1941. Cel taktyczny: uderzenie w redakcję tygodnika, który stał się jedynym efektywnym ośrodkiem przeciwko neomilitarystycznemu kursowi. Cel strategiczny: sparaliżowanie i zastraszenie całej niekomunistycznej, liberalnej i socjalistycznej opozycji, zwłaszcza antyatomowo nastrojonych kół intelek-